

Przepraszam, że z wiatrem odchodzę

(Dokończenie ze strony 9)

Na jego społeczną aktywność, której jakże często kładziono belki pod nogi, kolce na drogę i deprecjonowano ją a to ze względów na demony przeszłości, a to na personalne niechęci, animozje, zawiści – jak to w Krakowie, jak to wszędzie, jak to w Polsce. W Polsce, czyli nigdzie? O nie. Maciek był przecież całkowitym przeciwieństwem bohatera powieści Alfreda Jarry'ego. Nie był w żadnym calu Królem Ubu, ale jako taki funkcjonował jednak w pewnej grotesce, w tym niesłychanym literackim teatrze absurdu naznaczonym współczesnością i jej przejawami oraz określonym naszą nędzą i niedostatkiem co powoli i systematycznie go właśnie zabijało i nas wszystkich również niepostrzeżenie unicestwia. Choć jeśli chodzi o jęki i zawrodożenia nad „stanem stanu” Maciek Naglicki nigdy nie przesadzał z wyolbrzymianiem problemu, a wręcz przeciwnie – mężnie znosił trudy i przeciwności. Pchał syzyfowo, jednostajnie i wytrwale, wciąż pod wiatr, pod górę, i zawsze naprzód ten ciężki wózek zwany poezją i swoim życiem z nią przecież tylko związanym...



Fot. Andrzej Walter

Maćka często nie było (na to a tym, a to tamtym spotkaniu czy wieczorze), a był jakoby wszędzie. I zawsze. Mało kto wchodził się w polemikę z Jego krytycznoliterackim osądem, zdaniem, stwierdzeniem choćby – choć zawsze wypowiadał go z taktem, dystansem i lekką mgiełką niedopowiedzenia. Uwagi te z reguły były celne, adekwatne i zawsze dotykały sedna tematu, choć był i Maciek nieustraszoną gwęździarzem, który często snuł swoją opowieść w bardzo nieoczekiwane rejony. Maciek Naglicki był – jak się to dziś z

drwiną mawia – człowiekiem „starej daty”, a przez to był... Kimś o wiele więcej. Pokonał czas, a to zdarza się nielicznym. Czas dla Niego nie istniał. Istniała dla Niego Sprawa, a że spraw miał na głowie kilka ... w jego życiu ciągle jawiło się jakieś niedopowiedzenie, jakaś teatralna tajemnica, jakiś artystyczna, nieokreślona jasno tęsknota, dążenie, głód nierozpoznania i jaźń nadal jakby nieodkryta...

Kiedyś Maciek napisał nomen omen: (na Karnawał Bronowicki, którego już też nie ma...)

*przepraszam
że z wiatrem przychodzę
i drzwi
zbyt głośno otwieram
z prezentem
może nie chciałym
jakby
na inne święto
(...)*

I takie były chyba wszystkie ostanie lata Jego życia... Tak też była Jego śmierć. Dziwna, szokująca, absolutnie niespodziewana, niepotrzebna, tajemnicza – tak odchodzą poeci... kończą świat nie kończąc poezji. Nie stawiają kropek nad i, ba, w ogóle nie stawiają kropek. Pozostawiają nam wciąż otwartą księgę życia, którą musimy wytrwale dzień po dniu zapełnić, brodząc w żalosnej codzienności i ciągle ją zapisywać nowymi słowami, nowymi myślami i nowymi emocjami. Pozostawiają nam busołą niepewności, potrzebę prowadzenia poszukiwań tam, gdzie już nikomu szukać się niczego nie chce, pozostawiają nam myśli i słowa, pamięć i niezaspokojenie, labirynty i odkrycia...

To więcej niż potrzeba, a jednocześnie o wiele za mało. Przecież tyle było jeszcze planów, tyle niezrealizowanego sensu spotkań, tyle możliwych odkryć w dolinie słów i książek, prozy i poezji, w niebie odruchów człowieczeństwa w człowieku.

O tak. W to ostatnie Maciej Naglicki wierzył chyba najgoręcej. Najmocniej, niezachwianie i wręcz beztrósko wierzył w poezję i właśnie w człowieka. Ta wada zaprogramowała mu całe życie. Życie zbyt krótkie, aby je zrozumieć ... Przepraszam, że z wiatrem przychodzę, z wiatrem, śniegiem i niemożliwym do wytrzymania ... chłodem rozstania. Żegnaj Maćku. Szykuj tam dla nas jakieś możliwe miejsce. Najlepiej z boku, pod korcem, w cieniu tej... wiecznej wietrzności...

Andrzej Walter



Dariusz Pawlicki

O... klamkach

Niewiele jest przedmiotów, z którymi dłonie mają tak częsty kontakt, i to nie powierzchowny, jak właśnie klamki; proste, najzwyczajniejsze w świecie klamki. Nie mam jednak na myśli takich, dopiero co zainstalowanych w drzwiach, ani tkwiących w nich od kilku, kilkunastu lat. Chodzi mi o stare, takie, przynajmniej, kilkudziesięcioletnie. Zwłaszcza jednak o te pozostające na swych „posterunkach” od wielu, wielu pokoleń (oczywiście ludzkich), na przykład, w kościołach, cerkwiach bądź zborach. Wprost trudno wyobrazić sobie, jak wiele dłoni ich dotykało, naciskało na nie; ile też palców pozostawiło na nich jakieś ślady; bo że pozostawiło, to pewne. Takie klamki to swego rodzaju księgi gości. Może kiedyś, jeśli będzie to możliwe, i jeśli będzie taka potrzeba, zostaną odczytane („zrozumiane”) ujawnione. Może...

Ludzie, których dłonie naciskały na wspomniane klamki, należeli do rozmaitych narodowości, profesji, klas i warstw społecznych; mówili także różnymi językami. Bez względu jednak na to kim byli, dotykali tych samych klamek. Czynili to o różnych porach dnia i roku, będąc przy tym w rozmaitych stanach emocjonalnych (może znalazły one swoje odbicie we wspomnianych śladach zostawionych przez palce).

Jakby nie było, klamki ich łączyły (podobnie jak wnętrza, do których wkraczali po ich naciśnięciu)... Choć oni z pewnością, tak o nich nie myśleli. Traktowali je bowiem jako banalny, metalowy przedmiot tkwiący w drzwiach, jeden z bardzo wielu banalnych przedmiotów...



Fot. Dariusz Pawlicki

Przykładem klamek, które mam na myśli, może być ta znajdująca się w drzwiach głównego wejścia do kościoła pod wezwaniem Świętej Rodziny w Karolinie na Suwalszczyźnie. Z tym, że pierwsze